

KRZYK KWEZALA

ŁUKASZ GOŁĘBIEWSKI

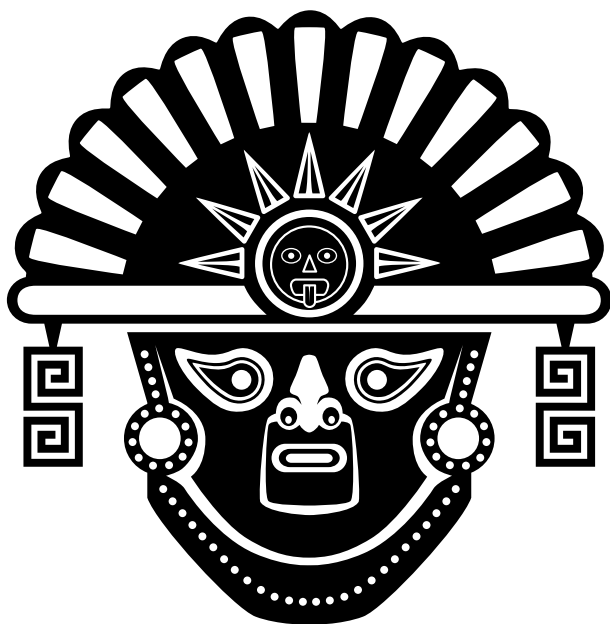


KRZYK KWIEŹALA

ŁUKASZ GOŁĘBIEWSKI



KRZYK KWEZALA



KRZYK KWEZALA

Łukasz Gołębiewski

Jirafa Roja
Warszawa 2012

© Copyright by Łukasz Gołębiewski, 2012

© Copyright by Jirafa Roja, 2012

Książka ukazała się pod honorowym patronatem ambasady Meksyku.

Redakcja i korekta:	Hanna Kukwa
Łamanie:	Tatsu  tatsu@tatsu.pl
Projekt okładki:	Agnieszka Herman
Rysunek na okładce i mapy:	Ewa Sabała
Aztecka maska:	www.istockphoto.com

Blog autora www.xenna.com.pl

ISBN 978-83-62948-04-8

www.jirafaroja.pl

Wydanie I
Warszawa 2012



*Poświęcam pamięci mojej babci
Hanny Morawieckiej*

*Milczenie indiańskiego świata jest dramatem,
którego konsekwencji jeszcze nie zmierzyliśmy.
Dramatem podwójnym, niszcząc bowiem kultury
amerykańskich Indian, zdobywca unicestwił
część siebie samego, część, której nigdy już
nie będzie mógł odnaleźć*

Jean-Marie Gustave Le Clézio



Gryzący i mdły dym kopalni wypełnił zimne, ale dobrze oświetlone wnętrza świątyni. Rozłożona na bazaltowym kamieniu dziewczyna ma nie więcej niż piętnaście lat, dopiero zaczynając pęcznieć krągłe piersi, teraz obnażone, lśnią od oliwki, którą natarto śniadą, gładką skórę. Oddycha niespokojnie, ale nie próbuje się bronić. Jej ciemne oczy, teraz zamglone łzami, uciekają od wzroku stojącego przed nią mężczyzny, błędzą po rzeźbionych ścianach, reliefach z wizerunkami ptaków i węży oplecionych kolczastym pnączem. Dziewczyna mamrocze półszepcetem, pół skomlać, pojedyncze słowa, jakby wyliczała winy, a może niespełnione marzenia.

Oczy stojącego przed nią dobrze zbudowanego mężczyzny są równie ciemne jak jej, ale całkiem spokojne. Patrzy na lewą pierś dziewczyny, na której ma małe znamię, bez pożądania i bez ciekawości, za to z precyzyjnym skupieniem perfekcjonisty.

Błysk, czarne ostrze, krótki krzyk, dłonie zanurzają się w otwartą pierś, wydobywają bijące jeszcze serce. Dwadzieścia uderzeń bębna.

Mężczyzna w złotej masce ze spokojem ogląda ociekający krwią obsydianowy nóż. Pofalowane ostrze pokryte drobnymi znakami ociera w delikatny jedwab i ze starannością odkłada do kamiennej szkatuły we wgłębieniu poniżej ołtarza. Spogląda w zimną twarz Kolibra z Południa, boga-opiekuna, pana wojny i słońca w zenicie, Huitzilopochtli, który w tych ciężkich dniach uparcie odmawia mieszkańcom Tenochtitlanu wsparcia. Drgający

jeszcze organ wyrwany z piersi ofiary dołączył do innych okrwawionych serc. Bóg milczy obojętny ofierze, choć ta krew jest dla niego, by się nią karmił, by powstał i wsparł swoich wyznawców w walce z przybyłymi zza morza brodacami.

Władca odwraca się do swoich kapłanów.

— Bóg ziemi otwiera usta. Pragnie napić się krwi tych wszystkich, którzy polegą w wojnie. Stworzeni z krwi i kości bogów dopełniamy święty cykl — twardo brzmią słowa śpiewnego języka nahuatl.

* * *

Ufortyfikowany na środku jeziora, olśniewający bogactwem Tenochtitlan zdaje się być twierdzą nie do zdobycia i zapewne nikomu prócz brawurowego dowódcy hiszpańskich wojsk — Hernana Cortesa — nie przyszłoby do głowy, że można się tam wdrzeć do środka. Dużą wyspę, na której wzniesiono najważniejsze dzielnice miasta, oddzielają od lądu trzy groble poprzerywane drewnianymi mostami. Łatwo je rozebrać by utrudnić przeprawę. Zbudowana przed laty wysoka tama utrzymuje bezpieczny poziom wody, by w razie długotrwałych opadów — tak częstych w otoczonej górami dolinie — miasto nie zostało zalane. Jezioro jest słone, ale zimną i czystą wodę pompuje olbrzymi akwedukt. Poza główną wyspą są tu dziesiątki mniejszych, najczęściej sztucznych, budowanych z wyplatanej trzciny i gąłęzi, tak mocnych, że są w stanie unieść domy.

Samo miasto jest ogromne i olśniewające, a mieszka tu jakieś trzysta tysięcy ludzi. Prawdziwa metropolia. W dzielnicach handlowych i rzemieślników tętni ruch, turkot i zgrzyt, kamień uderza o kamień, jazgot papug, których pióra zastępują tu pieńiądz, kupcy nawołują do swoich straganów, wielu dotarło na targ wędrując z odległych stron — Taraskowie z Tzintzuntzan, Mistekowie, zwani Ludźmi Chmur, z Tututepec, nawet dumni Majowie z Jukatanu czy z jeszcze odleglejszych krain jak Uta-

tlán. Dzielnice miasta przecinają dziesiątki kanałów, niemal przy każdym domu, choćby to była licha chata z trzciny, zaciemowana jest łódź, bo wejścia są od strony wody. Po zdjęciu drewnianych mostów łatwo zamknąć dostęp do kolejnych dzielnic i zamknąć wroga w pułapce. Wzdłuż kanałów ciągną się rzędy chatynek z trzciny i drewnianych bali, w głębi są domostwa bogatsze, z białego wulkanicznego kamienia, dalej — pałace i świątynie. Mienia się barwne dekoracje, złoto, srebro, turkusy, jaspisy i nefryty, lśnią gładkie obsydianowe powierzchnie, odbijają światło perliste muszle zdobiące fantazyjne malowidła, płaskorzeźby i posągi, które zdobią pałace arystokracji. Cztery proste i szerokie ulice, zamknięte bramami i wysypane białymi kamyczkami, prowadzą do otoczonego Murem Węża głównego placu — Świętego Dziedzińca Huey Teocalli — na którym wzniesiono świątynie, królewskie pałace, szkoły i arsenały. Góruje wielka piramida, a na niej świątynie ku czci najważniejszych bogów — Huitzilopochtli, który odpowiada za sukcesy w walce oraz Tlaloca, który zapewnia urodzaj. Poniżej wieże innych świątyń, a jest ich tu aż osiemdziesiąt. Najpiękniejsza jest biała rotunda boga Wiatru, zwieńczona szpiczastą, błyszczącą w słońcu kopułą.

Obchodząc świątynny plac można zrobić po czterysta kroków w każdą stronę dobrze wyciągając nogi. Żadne inne miasto nie może poszczycić się czymkolwiek podobnym, rozmach architektów równy jest zgromadzonemu przez imperium bogactwu. Pośród pałaców i świątyń pyszną się egzotyczne ogrody i królewski zwierzyńiec pełen niezwykłych okazów. Powietrze wypełnia miły zapach kwiatów i owoców oraz świergot tysięcy papug. W wąskich kanałach szumi krystalicznie czysta woda pompowana akweduktami wprost z górskich strumieni. Niezwykła jest uroda tego miejsca.

Drugi kompleks religijny i pałacowy znajduje się w dzielnicy Tlatelolco, którą częściowo wzniesiono na sztucznych wyspach. Jej mieszkańcy zachowują autonomię i z dumą nazywają siebie

Tlatelolkami, tak jakby nie byli poddanymi tego samego władcy. Poza murami znajdują się biedniejsze dzielnice, gęsto zabudowane, czyste, zadbane. W dzielnicy Cuepopan kwitną kwiaty, rosną owocowe drzewa, tu mieszkają *mayerques* — pracownicy rolni. Tlatelolco tradycyjnie jest częścią handlową, tu znajduje się największy na świecie targ. Gorszą sławą cieszy się rzemieślnicza dzielnica Moyotlan, zwana „miejszem komarów”. Tu domy są licho sklecone, często bez zaprawy murarskiej, kobiety otoczone gromadkami dzieci, spędzają dnie na wyplataniu mat czy wyprawianiu skór, mężczyźni mają swoje warsztaty — obrabiają drewno, obsydian, krzem, formują naczynia z gliny. Dzielnica Teopan, zwana „miejszem boga”, przynależy do Świętego Dziedzińca. Tu są szkoły, które kształcą wojowników i kapłanów, a obowiązek szkolny w podstawowym zakresie obejmuje każdego, bez względu na miejsce w społecznej hierarchii. Zajęcia odbywają się z matematyki, astronomii, historii, sztuk walki, posługiwania w uroczystościach religijnych. Jedynie dzieci arystokratycznych rodów opanowują skomplikowany system znaków i mają dostęp do zgromadzonych w bibliotekach ksiąg, dochowując monopolu władzy nad pismem. Dzielnica umieszczona na północnym wschodzie wyspy to Aztacalco — „dom czapli” — i tu żyją przede wszystkim rybacy, na drewnianych żerdziach suszą się sieci, do brzegu przycumowano setki długich lekkich łodzi.

Spokój należy jednak do przeszłości, nikt nie ma teraz czasu zachwycać się pięknem i harmonią. Od miesięcy miasto pogrążone jest w strachu i rozpacz. Dumna stolica imperium przeżywa swoje najgorsze dni.

Zanim nadeszło zło, wielu wróżyło straszliwy koniec. Stara przepowiednia zapowiedziała nadejście Quetzalcoatl, człowieka który stał się bogiem i który powróci by przejąć królewską władzę i zapoczątkować nową erę. Czy Quetzalcoatl istotnie wrócił, czy dopełnia się czas? Kapłani nie są co do tego zgodni. Wódz najeźdźców budzi trwogę, jego szpetna, brodata,

naznaczona bliznami twarz przypominała wizerunki Upierzonego Węża, dlaczego jednak bóg przybył by zniszczyć własne świątynie i pogrzebać swoich wyznawców? Może to zatem nie Quetzalcoatl lecz uzurpator, któremu dać trzeba odpór zamiast słać podarki i bić pokłony. Wokół nowego władcy Tenochtitlanu nie brakuje gniewnych, gotowych podjąć walkę, choćby mieli przypłacić ją życiem swoim i swoich bliskich. Wychowywana od dziecka do walki elita, wojownicy z zakonów Jaguara i Orła, walczyć będzie do końca, kapitulacja oznacza bowiem coś gorszego niż śmierć, dla żołnierza to hańba. A w mieście wciąż jest dwieście czy nawet więcej tysięcy ludzi i dostatecznie dużo broni by w razie ataku stawiać opór. Położony na środku jeziora Tenochtitlan ze swoim niewyobrażalnym bogactwem zdaje się być twierdzą nie do zdobycia.

A jednak niepokój narasta i trudno nad nim zapanować. W ciągu niespełna pół roku zginęło dwóch kolejnych władców. Jeden jako zdrajca ukamienowany przez własny lud jest przynębiającym symbolem hańby. To jego słabość i niezdecydowanie doprowadziły do tego, że wróg stoi teraz u bram. To bojaźń i fatalizm Montezumy doprowadziły do klęsk i śmierci wielu dostojnych wojowników i kapłanów — podstępnie wymordowanych przez wroga. Montezuma zdradził, okazał się być nie tylko tyranem, ale i krótkowzrocznym tchórzem, o którym Tenochkowie chcieliby jak najszybciej zapomnieć. Nie wszystkie niepowodzenia można jednak przypisać królowi Montezumie II. Ludowi Anáhuac, jak nazywają siebie mieszkańcy Doliny Meksyku, wyraźnie nie sprzyja los, pomimo coraz liczniejszych ofiar składanych na ołtarzach obrażonych bogów. Wypełniają się stare, złe przepowiednie. Rozważny Cuitláhuac, brat i następca Montezumy, a wcześniej pan Iztapalapy, w grudniu zeszłego roku zmarł na straszliwą epidemię *hueyeczahuatl*, czarnej ospy, po zaledwie osiemdziesięciu dniach panowania. Zaraza odebrała największemu z miast Trójprzymierza nie tylko kolejnego władcę, pochłonęła dziesiątki tysięcy istnień w ciągu zaledwie kilku

miesiący. W tamtych dniach nie nadążano z paleniem zwłok, a do dziś nad białymi domami, nad dachami wspaniałych pałaców i świątyń unosi się nie tylko słodycz owoców i kwiatów, ale też gryzący dym i mdły zapach śmierci.

* * *

Życie samo w sobie nie znaczy wiele. Jest ono tylko elementem ciągłej wymiany świata natury, słońce wstaje i słońce zachodzi, każdego nowego dnia czas się odradza, aż dopełni się los. Krew ofiar i jej rytuał to sekretna więź łącząca ludzi i bogów. Bogowie stworzyli wszelki byt, ofiara zaś przenosi życie do innego wymiaru, do wiecznego królestwa obfitości. Lud Meksyku nie zna lęku przed śmiercią. Strach wzbudza myśl o gniewie bogów i dokonaniu się czasu, który nie jest dany człowiekowi na wieczność. Strachem napawa wizja nicości.

Dla mieszkańców trzech wielkich miast skupionych wokół słonego jeziora Texcoco nadeszły straszne czasy. Na niewiele zdało się zgromadzone wcześniej bogactwo i rozległe polityczne wpływy — obejmujące ziemie od oceanu do oceanu. Trwające blisko sto lat Trójęprzymierze rozpadło się, sojusznicze miasta upadły, zostały splądrowane i zniszczone, dawni przyjaciele odwrócili się, a wasale trwożnie przeszli na stronę wroga — nie bacząc na jego brutalność i chciwość. Bładolicy przybysz nie oszczędza nikogo, kto nie godzi się służyć jego rozkazom. Bierze jak własne najpiękniejsze kobiety, piętnuje żelazem dzieci, mężczyzn morduje lub zakuwa w kajdany i zmusza do niewolniczej pracy. Zostawia za sobą zgłiszcza, budzi strach. Burzy świątynie, niszczy posągi, zakazuje prastarych rytuałów krwi, które — zgodnie z prądowną wiarą — odnawiają porządek świata.

Teraz, gdy sojusznicy zdradzili, a wrogowie wciąż rosną w siłę, wielki Tenochtitlan — stolica imperium — może liczyć już jedynie na własne bohaterstwo i wytrwałość oraz na wyrozumiałość urażonych bogów. Rozstrzygnięcie w walce musi być

szybkie. Przedłużające się obłężenie oznacza powolne konanie — zaczyna brakować jedzenia i wody, grozi kolejna epidemia, a wszystkie drogi ucieczki szczelnie zablokowały obce wojska.

* * *

Nad szeroką ulicą prowadzącą ku murom świątynnego dziedzińca unosi się kurz i piasek, południowe słońce wysuszyło ziemię, która jest jak pył unoszony podmuchami wiatru. Delikatny wiatr rozwiewa czarne kosmyki włosów siedmioletniej Citlalin. Stawiając wysoko bose stopy, dziewczynka dziarsko maszeruje z wielkim koszem na plecach. Co chwilę przystaje zadziwiona przelatującym motylem, który nieoczekiwanie ma trzy różnobarwne plamki, dwie na jednym skrzydełku, jedną na drugim, skąd ta niedoskonała asymetria? Wysłana przez matkę po chrust do rozpalenia paleniska, mała Citlalin beztrakośko łapie w dłonie słone krople bryzy przywiane znad jeziora. Wtem zastyga w napięciu. Na kamieniu wyleguje się duża zielona jaszczurka z zabawnym grzebieniem wzdłuż grzbietu. Citlalin robi na palcach dwa kroki w jej stronę, w jej ruchach jest czujność myśliwego, dziecięcą nieporadność zastąpiła zaskakująca kocia zwinność. Błyskawicznie łapie w rączki, gada, zanim ten zdąży czmychnąć, mocno przyciska go do piersi i z krzykiem radości biegnie w stronę domu. Mama się ucieszy z jaszczurczego mięsa, od wielu dni ich posiłkiem są tylko kukurydziane placki z wodnistym wywarem z nasion amarantu, z rzadka z dodatkiem kilku zgniłych pomidorów.

Nad Świętym Wzgórzem unosi się stróżka ciemnego ofiarnego dymu. Władca nie patrzy na miasto i nie widzi swoich poddanych. Uparcie, ze smutnym spokojem wpatruje się w kamienne oblicze boga. Liczy wciąż na wsparcie swojego patrona — cóż można mieć ponad wiarę gdy los jest przeciwny? Kapłani nie są w stanie znaleźć odpowiedzi na dręczące pytanie — dlaczego do tego doszło, skoro skrzętnie dochowywano

wszystkich rytuałów, gorliwie składano ofiary? Dlaczego bogowie odwrócili się od ludu Meksyku? W bazaltowym posągu nie znalazł odpowiedzi.

— Pozostaje nam walka do końca, choćby bez nadziei na zwycięstwo — Cuauhtémoc zdjął z twarzy złotą maskę, wytarł w podany mu ręcznik dłonie i odwrócił się w stronę zebranych w ciasnym kręgu kapłanów i dowódców. Postawny młodzieniec świetnie panuje nad emocjami, głos ma zimny i dostoyny, oczy bystre. Jego przybrane imię znaczy: Ten, który atakuje jak orzeł i pasuje do obecnej sytuacji — oczekuje się od niego męstwa i wytrwałości w walce. Jest jedenastym *tlatoanim*, władcą Tenochtitlanu — najpotężniejszego z miast-państw w Dolinie Meksyku. Stolicy dawnego imperium, dziś obleganej twierdzy. Syn Ahuitzotla, ósmego króla, a także następcą zmarłego niedawno Cuitláhuaca, potomek wielkiego rodu i spadkobierca potężnych insygniów wstąpił na tron w dniach smutku i zwątpienia. Pozbierał armię, odsunął złych doradców swego stryja i przygotował miasto do ostatecznej konfrontacji. Jego majestat dodawał otuchy, odwaga przydawała sił.

— Bez nadziei na zachowanie życia, panie — przed innymi wystąpił Sowa Kwezal, pochylił z godnością głowę, a słowa jego zabrzmiały hardo. Atletycznie zbudowany wojownik, odziany w twardy niczym stal barwny kaftan ze zbitej, pikowanej bawełny, wygląda jak jeden z kamiennych posągów, jak postać z innego, nieśmiertelnego świata. — Żaden z nas się nie cofnie!

— Jeśli nie możemy walczyć o życie nasze i naszego ludu, walczmy zatem o honor — głos Cuauhtémoca brzmi uroczyście, tak ma być. Morale nie tylko żołnierzy, ale także dowódców zostało w ostatnich miesiącach zdruzgotane. Poznali gorycz klęsk i upokorzeń i to z rąk obcych przybyszów — tych, którzy przybyli z daleka na pływających domach by zniszczyć dotychczasowy porządek. Zniszczyć wiarę ojców i obrazić bogów. Wojenny szlak wroga znaczą spalone świątynie i bestialsko niszczone te miasta, które nie ugięły się przed *teules*. Tak podstępnie siebie

nazywali — *teules*, równi bogom. Bładolicy i brodaci rycerze zza morza na groźnych czteronogich bestiach — parskających, spoconych bezrogich jeleniach, które podczas biegu wydają odgłosy padających na ziemię kamieni. Mają czarne psy o żółtych ślepiach i zapadłych brzuchach, tak silne i tak wściekle jakby przybyły z samego dna świata podziemnego, Mictlanu. Potrafią razić ogłuszającym ognistym gromem, są odziani w żelazo i budują pływające góry. Ale nie są nieśmiertelni. Nie są bogami, o nie, raczej bestiami owładniętymi gorączką pożądania. Dla złota gotowi byli przyjść aż tutaj pod mury Tenochtitlanu, dla klejnotów gotowi są zniszczyć wszystko, co im stanie na drodze, nie bacząc na rany, na śmierć, na gniew bogów. Przy najmniej bogów znanych w tym świecie, bo wraz z powiewającymi sztandarami niosą własnego ukrzyżowanego Pana i on im niewątpliwie sprzyja.

Jest tak młody, nie ma jeszcze dziewiętnastu lat. Ten wy studiowany majestat, kontrolowany spokój przydają mu jednak powagi. A wie, że w zbliżającej się decydującej bitwie będzie musiał okazać wielką odwagę. Jeśli bogowie milczą, pozostają jedynie spryt i męstwo. Chce dać swemu ludowi nadzieję, choć sam jej nie znajduje. Lecz gdy nie ma nadziei, pozostaje jeszcze honor wojownika. Nie podda miasta, nie odda jego mieszkańców w niewolę i pohańbienie. A walka nie jest jeszcze przegrana. Do dyspozycji ma wielką armię, wyszkolonych i twardych wojowników, oddziały, które do niedawna siały postrach pomiędzy brzegami oceanów. Żołnierze Tenochtitlanu wołają zginąć niż iść w niewolę. Od dziecka wzrastali w *tepochoalli* — szkołach przygotowujących do walki i bohaterskiej śmierci. Oni nie znają lęku. Śmierć w walce oznacza prostą drogę do Domu Słońca w niebie, wieczność wśród bogów i ubóstwianych kobiet. A teraz grozi nie tylko śmierć, lecz całkowite unicestwienie, jest zatem o co walczyć. Przybysze przyprowadzili nie tylko rżące bestie, lecz także swoją wizję świata. Chcą odmienić obowiązujące tu od wieków prawa — uświęcony rytuałami religijnymi porządek

dnia i nocy, ognia i wody. Cuauhtémoc nie czuje lęku, a jedynie ciężar odpowiedzialności i ogromny smutek. Nieoczekiwanie i w trudnym momencie objął władzę, cieszy się jednak zaufaniem zarówno pozostałych przy życiu wodzów jak i mieszkańców udręczonego miasta. Pomimo młodego wieku ma na koncie kilkanaście wygranych bitew, pieśni chwalą jego charyzmę, odwagę i talent przywódcy. Dobrowolnie zrezygnował z przynależnych władcy zaszczytów, z uwagą potrafi słuchać doradców, skupiając wokół siebie tych, którzy gotowi są działać. Odprawił tych wszystkich kapłanów, którzy z fatalistycznym uporem zapowiadali zagładę, a także tych spośród arystokratycznych rodzin, którzy gotowi byli poddać się lub uciec. Odwaga ma teraz w Tenochtitlanie najwyższą cenę, wyższą niż pobożność, bogactwo czy koneksje.

Cuauhtémoc odrywa wzrok od bazaltowej figury, z oddali dochodzi czysty, głęboki i delikatny śpiew kwezala — krótka melodia o trochę smutnej, trochę tęsknej barwie. Myśli rozpierzchają się, na moment powraca nękający go ostatnio w snach niewyraźny, trudny do zinterpretowania obraz, w którym wielki wąż oplata drobne kobiece ciało, zagryza zęby na jej piersi, jakby chciałssać mleko, ta wizja budzi nieoczekiwany lęk. Czuje pulsujące w skroniach tętno, próbuje odgonić złe widziadło i zapanować nad coraz krótszym oddechem. Spokój!, przywołuje myśli do porządku, nikt zdaje się nie zauważył tej chwili słabości.

W świątynnej niszy, zdobionej białymi i czerwonymi ornamentami drobnej ceramicznej mozaiki, stoją najbardziej zaufani żołnierze i kapłani. Odziani w kwieciste peleryny, przyozdobieni piórami, klejnotami z turkusów i jadeitu. Przywódcy zakonów Jaguara i Orła w rytualnych strojach, pod którymi kryją się pikowane kaftany *ichcahuipilli*, tak mocne, że z trudem przebija je obsydianowy miecz. Przybysze zza morza nie używają jednak obsydianu lecz żelaza, ich miecze są ostrzejsze i cięższe, ich strzały przebijają drewniane tarcze i przenikają przez utkane z agawy kaftany, a największy niepokój budzą grzmiące lufy —

rażące na odległość ogniem i kamiennymi pociskami, które za jednym razem są w stanie powalić wielu wojowników.

Od kilku dni Cuauhtémoc obserwuje ze szczytu Wielkiej Świątyni, Huey Teocalli, ruchy obcych wojsk koncentrujących się wokół jeziora. Realnie ocenia szanse. Przeciwnik nie tylko dysponuje potężną bronią, ale jego szeregi z dnia na dzień rosną w siłę. Władca ponuro patrzy na smukłe białe wieże pałaców, na lśniące w słońcu kanały, na wiszące ogrody, a nad nimi kolorowe rozśpiewane ptaki i setki motyli. Nie bez powodu obawia się, że płomienie niebawem pochłoną świat, w którym dorastał.

— W tej walce każdy dom, każdy zaułek, każda wyrwa w ziemi będą naszą twierdzą. Każcie przerwać groble, kopać głębokie rowy, w których umieścimy zaostrzone pale, szykujcie długie włócznie, które pozwolą dosięgnąć jeźdźców na bestiach. Od dzisiaj racje wody i żywności zostaną ograniczone o połowę. Musimy być przygotowani na długą obronę miasta. Wedle Xipe — gestem wskazuje stojącego w cieniu ołtarza kapłana — lud nasz przetrwa tylko wówczas, jeżeli wytrzymamy osiemdziesiąt dni oblężenia — silny głos władcy brzmi echem w kamiennej niszy.

— Za pozwoleniem, mój panie — odziany w prostą czarną tunikę, Xipe unosi pokrytą bliznami twarz. — Nie wszystko jeszcze stracone. Oczyszczająca dusze Bogini Księżycy ostrzega przed wrogimi domami na wodzie, nie powinniśmy dopuścić ich do granic miasta. Dobrze byłoby je zniszczyć, a przynajmniej kilka z nich, na znak, że przeciwnik nie kontroluje sytuacji. Każdy zadany przez nas cios da efekt podwójny, osłabi obecne siły wroga, ale i w przyszłości odejmie mu sprzymierzeńców. Nasi dawni sojusznicy, którzy dziś przeszli na drugą stronę, są chybotliwi i gotowi znów nam służyć, potrzebują tylko wiary w zwycięstwo. Matka Księżycy mówi, że losy wojny odmienia się na naszą korzyść gdy zabijemy ich wodza. Jego ucięta głowa będzie symbolem naszego triumfu. Bogini nasza, Pożeraczka Nieczystości, chce krwi i serc niewiernych oraz wszystkich towarzyszących im zdrajców. Ta krew nawodni glebę, zapładni

Coyolxauhqui i przywróci wielkiemu Tenochtitlanowi siły niezbędne do walki — głos kapłana Xipe jest uduchowiony, lecz jednocześnie ciepły, budzący zaufanie.

Wypowiadający przepowiednię mężczyzna budzi respekt, choć nie sprawuje najwyższego stanowiska. Na chudym ciele ma tyleż samo blizn, co tatuaży. Doświadczony Xipe od początku ostrzegał przed dopuszczeniem obcych do miasta. Nie tylko nie ufał im, ale naciskał na Montezumę, gdy ten jeszcze żył, by zaprzestał jakichkolwiek pokojowych rozmów. Trzeba było od razu podjąć walkę, zanim ci zza morza sprzymierzyli się z wrogami Tenochtitlanu, zanim połączyli siły i ruszyli wielką armią na miasto, zanim doszło do tych wszystkich tragedii i hańby jaka pokryła królewski ród po tchórzowskiej zdradzie Moneztumy. Trzeba było, stało się jednak inaczej.

Długa pauza przerywa przepowiednię mnicha, nikt jednak się nie odzywa. W powietrzu unosi się ostry, bitumiczny zapach żywicy palonej na rozżarzonych węgielkach. Delikatny płomień liże chropowate grudki kopalu, uwalniając magię kadzidła. Jasny dym oplata posąg boga, oddala złe duchy.

Wyciszony Xipe przez lata pozostawał w cieniu bardziej ambitnych kapłanów, a za sprawą intryg najbliższego doradcy Montezumy, Petlalcacatli, omal nie został przed dwoma laty stracony. Ma rzadki wśród dostojników dar realistycznej oceny zagrożeń. I choć w retoryce — jak nakazuje obyczaj — odwołuje się do bogów, w istocie twardo stąpa po ziemi. Nigdy nie zainteresowany politycznymi rozgrywkami na królewskim dworze, konsekwentnie trwa na swoich stanowiskach. Zdaje się być pozbawionym żądzy sukcesu i doczesnych pragnień, a jeśli nawet ma te ostatnie, to starannie je ukrywa. Młody władca ma do niego wielkie zaufanie.

— Przygotujmy się jednak na długą i wyczerpującą walkę obronną, która będzie dla nas nie tylko sprawdzianem wiary, ale przede wszystkim wytrwałości i odwagi. Jeśli serca nasze będą płochliwe i ulegniemy, wówczas nasza historia skończy się, bę-

dzie to czas unicestwienia — dodaje tym samym tonem Xipe. Król Cuauhtémoc kiwa mu przychylnie głową, chciałby aby ten spokojny mnich objął w przyszłości stanowisko arcykapłana — najwyższego *Teohuatzina*. Xipe jak nikt inny nadaje się do odbudowy potęgi Tenochtitlanu — oczywiście jeżeli uda się odeprzeć obecne natarcie. Jest wytrawnym astronomem, matematykiem i inżynierem, a obecnie także głównym architektem odpowiedzialnym za plan przebudowy systemów obronnych. Inicjator wielu usprawnień w mieście i w Dolinie Meksyku — modernizacji akweduktu i systemów nawadniania pól kukurydzy, pogłębiania i oczyszczenia głównego kanału, umocnienia bramy Orła. Od wielu miesięcy razem z Sową Kwezalem pracują nad strategią walki z tym zamorskim wrogiem. To on zalecił wprowadzenie długich włóczni, które pozwalają strącić jeźdźca z jego bestii. Samodzielnie opracował nowy miotacz oszczepów, dający większy zasięg i ułatwiający atak z góry, doskonały do obrony murów. Wcześniej, w okresie pokoju, był strażnikiem królewskiej biblioteki i astronomem, mierzył odległości planet, forsował modernizację astralnego kalendarza. Jako kapłan przypisany jest opiece nad świątynią Pani Księżycy, Coyolxauhqui; służy także Pani Dwoistości — Citlalicue, której symbol zawsze nosi na piersi w formie złotego talizmanu. Z oczywistych powodów nadzoruje także święta patrona własnego imienia — boga kukurydzy Xipe Toteca. Ten ostatni, choć należy do bóstw agrarnych, ma przerażającą manifestację — Pana Obdartego ze Skóry. Wiosenne obrzędy religijne ku czci tego boga, odpowiadającego nie tylko za urodzaj, ale także za wszelkiego rodzaju epidemie, zbierają krwawe żniwa. Święto zwie się *Tlacaxipeualiztli*, a ofiary obdzierane są żywcem ze skóry. Dopiero po oddarciu ostatniego płata skóry litościwie wyrywane są im serca.

Dla młodego Cuauhtémoca Xipe był wymagającym, ale serdecznym opiekunem, a gdy nastolatek został niespodziewanie jedenastym *tlatoani*, stał się jego najbardziej zaufanym doradcą, choć wciąż stał w cieniu, oddając innym blisze dostojęstwa

najwyższych kapłanów. W prywatnych rozmowach z władcą zwykł żartować, że wyszywane klejnotami szaty są za ciężkie na jego drobne wychudzone ciało, a dworskie ucztę wywołują rozstrój żołądka, dlatego przedkłada nad nie ścisły post o wodzie i kukurydzy, w którym od lat trwa przez dwadzieścia dni miesiąca.

— Zgadzam się z Xipe — donośnie brzmi głos porywczego Icatlina, drugiego z obecnych kapłanów, będącego mistrzem ceremonii, dostojnym *Epcoaquacuiltzinem*. Ma rytualną złotoniebieską szatę obrębianą koralikami i *chalchihuites* — kolorowymi kamykami, na nadgarstkach bransolety w formie splecionych węży. Długie, skołtunione, posklejane krwią siwe włosy nadają mu demoniczny wygląd. — Bogowie potrzebują wyraźnego sygnału naszego męstwa. Niech ołtarz Huitzilopochtli spłynie krwią niewiernych! — Icatlin unosi w górę inkrustowany mitycznymi scenami rytualny miecz i wyczekująco spogląda na władcę. Ten spokojnie kiwa głową. Jedno szybkie uderzenie, rozdzierający krzyk bólu, na mozaikę posadzki upadają dwie odrąbane dłonie pojmanego tlaskalańskiego wojownika. Tlaxcala, która od ponad stu lat toczyła wojny z Tenochtitlanem, sprzymierzyła się z białymi przybyszami — nie oni jedni gotowi byli porzucić tradycję i wiarę by znaleźć się po stronie silniejszych; niestety — takie prawo wojny. Kapłan znów spogląda na władcę i znów widzi nieme przyzwolenie. Trach, drugie uderzenie i po fantazyjnie ułożonych kolorowych kamykach toczy się zwieńczona warkoczem czarnych włosów głowa. Tułów drga jeszcze przez moment, jakby w ciele pozostawała jakaś resztką życia. Icatlin chwytą zakrwawiony czerep i wychodzi z nim przed świątynię. Z kamiennej piramidy, nazywanej Świętą Górą lub Górą Pożywienia, rozpościera się widok na miasto, jezioro i Dolinę Meksyku. Wysoka na sześćdziesiąt metrów piramida Huey Teocalli symbolizuje dwie życiodajne energie — wodę i pożywienie. Na jej szczyt prowadzą niemalże pionowe schody, u których podnóża leży odbijająca światło

plaskorzeźba Coyolxauhqui, opiekunki tego miejsca. Niezwykle to dzieło — Bogini Księżycy w nieludzkiej pozycji, naturalnego koloru ciało jest rozczłonkowane, twarz pokrywają ornamenty maleńkich dzwoneczków, biodra zasłania przepaska z symbolem białej czaszki, mieniąca się chłodnym błękitem korona z piór zdobi jej głowę. Ramiona przyozdobione węzami, a nadgarstki dłoni perłowymi paciorkami, które zmieniają barwę od żółci, czerwieni po niebieski. Coyolxauhqui u stóp świątyni Huitzilopochtli, patrona Tenochków i Tlatelolków, symbolizować ma los tych wszystkich, którzy odważą się podnieść dłoń na Tenochtitlan. Wedle pradawnego mitu Pani Księżycy była przyrodnią siostrą Huitzilopochtli, która zdradziła i podstępnie uknuła spisek. Zginęła z jego rąk po krwawej rodzinnej bitwie. Aztecki patron miał jej odrąbać głowę, która od tamtych czasów pojawia się na niebie każdej nocy.

W dole, w ponurym milczeniu, na wynik narady oczekuje tłum wystraszonych, wyniszczonych niedawną zarazą mieszkańców. Kapłan starannie zatknął odciętą głowę ofiary na drewnianym rusztowaniu okalającym wejście do świątyni. Daje znak stojącemu pod ścianą wojownikowi. Ten chwyta pozbawione dłoni i głowy ciało i zrzuca je z kamiennych schodów piramidy. Uderzono w bębny, rozlega się ostry dźwięk fletów i piszczałek. Tłum unosi w górę dłonie z ponurym pomrukiem, bardziej wyrażającym rezygnację niż radość z przyjętej przez boga ofiary.

— Szykujemy zatem obronę miasta i powitajmy orężem naszych wrogów.

— Moje oddziały są gotowe do walki — zapewnia Sowa Kwezal.

— Nasze ciała porosły sierścią — warknął przebrany w skórę i maskę jaguara wojownik Iztacan. Niedawno awansował i cieszy się dużymi względami władcy. Starszy od niego i bardziej doświadczony kapitan Coyohuehuetzin dobrowolnie odsunął się w cień, biorąc na siebie współodpowiedzialność za porażkę w bitwie pod Otumbą, w której zginęło wielu wybitnych

rycerzy z Bractwa Jaguara. Iztacan spragniony jest chwały i aż pali się do walki.

— I my czekamy by zerwać się do lotu i zdusić w krwiożerczym uścisku wroga, a jego krwią nakarmić wielkiego Huitzilopochtli — twardy bawełniany kaftan Ehecatla pokryty jest orlimi piórami, a hełm wieńczy wielki zakrzywiony dziób. Opiekun Domu Orła wspiera się na długiej i skręconej, inkrustowanej szlachetnymi kamieniami, włócznie Boga Wiatru — rodowej relikwii, która — wedle jednego z mitów — powstała w dniu stworzenia świata.

— Czy wszyscy są gotowi do walki? Nikt nie myśli o podaniu miasta?

— Ci, którzy tak myśleli, panie, zostali już złożeni w ofierze wielkiemu Huitzilopochtli — Icatlin wysyczał ostatnią szeleszczącą sylabę i spojrzał na uczestniczącego w naradzie księcia Tlacotzina, drugiego po Cuauhtémocu dostojnika, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo w państwie. Ten się tylko zaczerwienił, nic nie odpowiedział.

— Nadchodzi zatem czas przeznaczenia. Zdajmy się na nasze męstwo i łaskę bogów — Cuauhtémoc naciąga na ramię pelerynę z namalowanymi czaszkami i ludzkimi kośćmi, skronie ozdabia turkusowym diademem, na głowę nakłada wspaniale zdobiony *anecuyotl* — rytualny hełm Huitzilopochtli w kształcie stożka, przyozdobiony piórami kwezala. Z platformy na szczycie piramidy pozdrawia zgromadzonych na placu mieszkańców. Bębniarz miarowo wybija rytm.

Odzywają się najpierw pojedyncze głosy, potem śpiewny chór wznosi *tlexotecayotl* — pieśń pochwalną ku czci patrona.



Poczuł dotyk delikatnych kobiecych dłoni na karku, pocałunek, a potem ciepło przylegającego ciała, odwrócił się i przygarnął ją zaborczym ruchem, podniecony jej bliskością. Mocno ugryzł sutek oliwkowych piersi, aż jęknęła z bólu. Leżała na nim, przyciśnięta, nie przytulona, zakleszczona silnym uściskiem ramion i ud. Odgarnął z twarzy opadające długie czarne jak smoła włosy i zachłannie zaczął całować, gryząc jej język i wargi. Malinche znów jęknęła, zadowolona, widząc, jak szybko rozpala żądze. Podniecało ją to uczucie panowania nad jego ciałem. Potężny, surowy i apodyktyczny, w ciągu dnia siał postrach, a w nocy należał wyłącznie do niej. Wielokrotnie myślała o tym, jak bardzo jest przy niej bezbronny, ufnie zasypiając niemal natychmiast po miłosnym spełnieniu. Mogła go okaleczyć lub nawet zabić, jednak nie czuła do niego nienawiści, choć wziął ją jako niewolnicę. Nie czuła też miłości, raczej podziw i wierne przywiązanie, choć on wierności nawet nie udawał. Wszedł w nią jak zwykle brutalnie, jednym głębokim pchnięciem, była już jednak tak podniecona, że poczuła jedynie przyjemne wypełnienie. Jego penis jest większy niż u mężczyzn z jej ludu, a ciało i twarz pokrywają mu ciemne włosy. *Gdy wojownik Jaguar zdobywa doświadczenie, jego ciało na podobieństwo jaguara porasta sierścią*, przypomniała sobie, on jednak nie jest Jaguarem, lecz białym brodaczem zza morza i wszyscy jego towarzysze wyglądają podobnie.

Być może jest jedyną osobą, która się nie boi Cortesa.